

Joanna Kalicka: Historia, chłopcze!

Oh Boy” świetnie oddaje charakter Berlina: miasta, które jawi się czasem jako niekończąca się impreza, by obserwowane pod innym kątem odsłonić zupełnie inne, strauumatyzowane, pozbawione niewinności i beztroski oblicze



Oh Boy” świetnie oddaje charakter Berlina: miasta, które jawi się czasem jako niekończąca się impreza, by obserwowane pod innym kątem odsłonić zupełnie inne, strauumatyzowane, pozbawione niewinności i beztroski oblicze

Najgłośniejszą niemiecką produkcją filmową tego roku pozostanie dla Polaków z pewnością trzyczęściowy serial ZDF „Nasi ojcowie, nasze matki”. Jednak w samych Niemczech równolegle – i dużo bardziej

jednoznacznie – świętowany jest kinowy debiut Jana Ole-Gerstera. „Oh Boy” otrzymał w kwietniu Niemiecką Nagrodę Filmową w sześciu kategoriach, w tym najważniejszej: dla najlepszego filmu. Obie produkcje łączy zresztą nie tylko moment ich powstania.

Emisja „Naszych ojców, naszych matek” w TVP na zawsze pozbawiła niewinności (potencjalne) spojrzenie polskiego widza na film Ole-Gerstera. W jego pierwszej scenie, zamiast pary młodych mieszkańców współczesnego Berlina, ujrzałby bowiem wstających z łóżka nazi ojca i nazi matkę. Wszystko przez dwoje aktorów, Katharinę Schüttler i Toma Schillinga, którzy zagrali główne role w „Naszych matkach, naszych ojcach”, a w „Oh Boy” wcielają się w młodego studenta Niko i jego dziewczynę.

Schilling, którego po obejrzeniu wojennego serialu dość szybko się zapomina, dzięki „Oh! Boy” naprawdę zapada w pamięć. I to pomimo, że los granego przez niego bohatera jest nieporównywalnie mniej dramatyczny od tego pisanego niemieckiemu żołnierzowi w „Naszych matkach, naszych ojcach”. Zbliżający się do trzydziestki berlińczyk Niko dwa lata temu przerwał studia prawnicze i ciągle jeszcze żyje z pieniędzy przesyłanych mu co miesiąc przez nieświadomego niczego ojca. Gdy rodzic dowiaduje się prawdy i wściekły chce się dowiedzieć, czym jego syn zajmował się przez cały ten czas, Niko odpowiada, że się... zastanawiał. „Nad czym?” „Nad sobą. Nad tobą”. „I za to płacę ci tysiąc euro miesięcznie? Żebyś się nade mną zastanawiał?!”. Ten dialog znakomicie streszcza w sobie poetykę filmu, który wywołuje uśmiech, jednocześnie poruszając w widzu raz po raz jakąś głębszą strunę. W końcu kto wie, czy zastanawianie się nad sobą i swoim ojcem nie jest w gruncie rzeczy warte nawet więcej niż tysiąc euro...

Niko to marzyciel, trochę nieudacznik, trochę darmozjad. Łatwo byłoby zrobić z niego postać komediową albo przerysowaną – nie dzieje się tak ani przez chwilę, dzięki subtelnej grze Schillinga, lecz przede wszystkim dzięki zręczności scenariusza. To samo dotyczy bowiem ojca, który w powyższej scenie mógłby przeistoczyć się w stereotypowego, autorytarnego rodzica płci męskiej. Gdy jednak odchodzi i rzucając na stół kilkaset euro mówi, że Niko więcej pieniędzy od niego nie dostanie i że to najlepsze, co może dla niego zrobić, scenariusz unika kolejnej mielizny. Tak jest już przez cały film, balansujący na granicy banału, a zarazem głęboko mądry.

Drugim głównym bohaterem filmu jest Berlin. To nie przypadek, że Niko mieszka właśnie tam – stolica Niemiec przyciąga wszelkiego rodzaju niebieskich ptaków i sprzyja mniej lub bardziej twórczemu bezrobociu. Berlin jest ekologiczny, alternatywny, kreatywny i nie za bogaty. Niemcy mówią o nim „arm aber sexy” – „biedny ale seksowny”. Jednak faktyczny urok i zalety miasta często giną gdzieś wśród nieznośnej mody na wszystko, co berlińskie. Europejska stolica hipsterów momentami poświęca sobie samej zdecydowanie zbyt wiele uwagi. „Oh! Boy” pozwala odetchnąć również od tego – Berlin jest w nim obecny tyleż wyraźnie, co dyskretnie. Potraktowany zostaje tak jak bohaterowie filmu, z sympatią, a zarazem życzliwą uszczypliwością. Jak w scenie dziwacznej kłótni z wojowniczym reżyserem bardzo berlińskiego, offowego teatru, a przede wszystkim w genialnej konfrontacji bezradnego Niko z asortymentem kawiarni, w której najtrudniej jest dostać najzwyczajszą czarną kawę. W zamian za to kelnerka do każdego z jej rodzajów z przyklejonym uśmiechem proponuje mleko sojowe.

„Oh Boy” opisuje jeden dzień z życia Niko. Jego lejtmotywem staje się właśnie poszukiwanie i niemożność napicia się kawy - wyjątkowy pech i paradoks niezaspokojenia w mieście, które w swej kulinarnej ofercie ma coś z całego świata i na każdą kieszeń. Pomędzy kolejne kawiarniane porażki wplecione są mniej lub bardziej przypadkowe spotkania z ludźmi i ich historiami. Do dzisiejszego dnia Niko przenika wczoraj – nie tylko jego osobista przeszłość, którą uosabia dawno niewidziana koleżanka ze szkoły, lecz także niemiecka historia. Scena, w której bohater trafia na plan kolejnej niemieckiej produkcji o drugiej wojnie światowej jest podwójnie zabawna – przez skojarzenie z telewizyjną rolą Schillinga i ironiczny sposób przedstawienia ekipy filmowej. Młody berlińczyk ma też wyjątkową słabość do starszków z pokolenia „naszych matek, naszych ojców”. Momentami wydaje się nawet, że dogaduje się z nimi dużo lepiej niż ze swymi rówieśnikami. Pod koniec frustrującego dnia spotyka w barze starszego mężczyznę, który niepytany zaczyna opowiadać, jak w dzieciństwie rzucał kamieniami w okna żydowskich sklepów. Atmosfera filmu momentalnie się zagęszcza, rozmowa nabiera zaskakującego ciężaru. Niko patrzy na irytującego go z początku staruszka z coraz większym zainteresowaniem i gdy już wydaje się, że nastąpiło tu prawdziwe międzypokoleniowe spotkanie, mężczyzna traci przytomność. W szpitalu bohater zostaje skonfrontowany ze śmiercią i samotnością starszego człowieka, który okazuje się nie mieć żadnych krewnych. Kawa, którą nad ranem dostaje wreszcie w okolicznej kawiarni, z pewnością nie smakuje tak dobrze, jak można by się tego spodziewać po jej całodziennym, bezowocnym poszukiwaniu.

„Oh Boy” świetnie oddaje charakter Berlina: miasta, które jawi się czasem jako niekończąca się impreza, by obserwowane pod innym kątem odsłonić zupełnie inne, straumatyzowane, pozbawione

niewinności i beztroski oblicze. Końcowa scena pokazuje coś jeszcze, o czym tak łatwo nam z polskiej perspektywy zapominać – następującą właśnie zmianę pokoleniową, która nieuchronnie odcisnę się na niemieckiej kulturze pamięci. Co zrobi Niko z ostatnią rozmową tego długiego dnia? Jakie znaczenie będzie miało dla niego wyznanie winy obcego staruszka? Osobiste związki Niemców z nazistowskimi zbrodniami rozluźniają się coraz bardziej wraz z odchodzeniem kolejnych przedstawicieli uwikłanego w nie pokolenia. Ich wnukowie konfrontują się na co dzień z zupełnie innymi problemami, podobnymi raczej do rozterek Niko niż rzeczywistości II wojny światowej i opisywanymi w ostatniej książce młodej niemieckiej dziennikarki Niny Pauer.

Równoległa wszechobecność upamiętnień, muzeów, badań naukowych dotyczących II wojny światowej, w tym przede wszystkim Holocaustu, sprawia wrażenie, jakby niewiele można było jeszcze w tej sferze nowego powiedzieć lub zrobić. A jednak kultura pamięci to rzeczywistość dynamiczna i w jej ramach akcenty od paru lat przesuwają się w kierunku indywidualnych historii i własnego cierpienia. Nie można powiedzieć, by konstrukcja zbiorowej winy zupełnie się załamała, ale na pewno jest poddawana ciężkiej próbie. Problem ten odbija się w obu filmach połączonych osobą Toma Schillinga: w „Oh Boy” zostaje jedynie subtelnie zarysowany, w „Naszyc matkach, naszych ojcach” problematyzuje go zarówno całokształt fabuły, jak promocja serialu i dyskusje wokół jego emisji. W polskich oczach oburzający z powodu sposobu przedstawienia partyzantów AK, z niemieckiej perspektywy film ten jest przede wszystkim próbą zagrania jeszcze raz na wojennej nucie, motywowaną zapewne w tej samej mierze chęcią zysku i trafienia w gust publiczności, co szczerymi intencjami przybliżenia młodym Niemcom doświadczeń przeszłych pokoleń. Nikt oczywiście nie jest w stanie

zmusić Polaków do przyjmowania tej perspektywy, ale świadomość jej istnienia – a także wycieczka do Berlina, być może połączona z wizytą w kinie – z pewnością by nikomu nie zaszkodziła.

Joanna Kailicka